



Magda Huzarska-Szumiec

GOMBROWICZ, BUŁHAKOW i SINGER

Wielkim pisarzem jest i... tyle

Są takie przedstawienia, o których nawet nie chce się pisać. Bogu ducha winny człowiek wychodzi z teatru, prostuje zastane kości i zastanawia się, w czym tak naprawdę przez trzy godziny uczestniczył. Gdyby to jeszcze był jakiś skandal, jakaś totalna bzdura, z której można by sobie pożartować przez dalszą część wieczoru... Ale kiedy ze zmęczenia mówić się nie chce, a w głowie fruwają zupełnie nijakie obrazy, które ulatują tak szybko jak przekazywane ze sceny myśli, ma się jedynie poczucie zmarnowanego czasu. I właśnie w takim stanie opuszczałam premierowy spektakl *Trans-Atlantyk*, który na scenie Starego Teatru wystawił Mikołaj Grabowski.

Wydawać by się mogło, że reżyser jest specjalistą od Gombrowicza. Ma bowiem za sobą już kilka realizacji tekstów pisarza, w tym głośny *Transatlantyk*, przed laty przygotowany w Łodzi, ze znakomita rolą Jana Peszka w roli Gonzala. Tu też aktor wcielił się w postać homoseksualisty, uwodziciela młodych chłopców, tylko że dzisiaj nie robi to większego wrażenia. Tym bardziej iż obecny bohater nie jest już odważnym wielbicielem Syncyzny, lecz podstarzałym, zmiętym lowelasem, który nakłada na siebie greckie szaty i śpiewa arie operowe, powielając tym gejowskie stereotypy.

W podobnie banalne tony wpadają aktorzy, kiedy pokazują odwieczne zmagania Ojczyzny z Syncyzną, tej pierwszej – reprezentowanej przez stetryczalych, hurrapatriotycznych rodaków znajdujących się na obczyźnie w dniu wybuchu wojny i drugiej – uosabianej przez tłum półnagich chłopców z dworu Gonzala. Ich zderzenie dało Gombrowiczowi okazję do wyśmiania

Trans-Atlantyk; fot. M. Wegner.



Mistrz i Malgorzata



na wszelkie możliwe sposoby naszych narodowych wad i siedzących w nas upiórów. Oglądając przedstawienie w Starym Teatrze można odnieść wrażenie, że Grabowski przechodzi nad nimi do porządku dziennego. Wynika to z bardzo przyziemnego powodu: otóż aktorzy miast jątrzyć i drażnić, po prostu referują tekst. Wcielający się w postać alter ego pisarza Marcin Kalisz został przez reżysera wsadzony w rolę zwykłego współczesnego chłopaka, który nie ma grać, a jedynie być sobą na scenie. W efekcie tego po pół godzinie przestałam śledzić podawany przez niego monotonnym rytmem tekst, co sprawiało, że finałowy zbiorowy śmiech prowadzący do pojednania Ojczyzny i Synchrony zupełnie mnie nie obszedł. Wysłałam z teatru zmęczona zastanawiając się nad tym, jaki powód miał Mikołaj Grabowski, by wystawić właśnie teraz *Trans-Atlantyck*. Oczywiście, oprócz tego, że Gombrowicz wielkim pisarzem jest...

Banalny romans z diabłem w tle

Sam pomysł wystawienia *Mistrza i Małgorzaty* w Grotesce od razu wydał mi się interesujący. Zderzenie diabelskiej powieści Bulhakowa ze specyficzną formą, jaką daje możliwość operowania lalkami, które są znakiem firmowym teatru przy ul. Skarbowej, mogło dać przejmujący efekt. Niestety, przedstawienie Waldemara Wolańskiego okazało się jedynie banalnym romansiem z diabłem w tle.

Lucyfer nie miał tu za wiele do powiedzenia, bowiem reżyser postanowił opowiedzieć nam tylko pewną historię miłości pisarza i pięknej kobiety, podszytą iluzjonistycznymi, a nie szatańskimi sztuczkami. Wątpliwości wzbudził we mnie już fakt, iż pozbawił przedstawienie niezwykle istotnego wątku Jezui i Pilata, bez których ta historia traci swoją moc.

Fabula spektaklu została zamknięta w ramach opowieści Iwana Bezdonnego (Franciszek Muła), nieudacznego poety, który trafił do domu wariatów uganiając się za pewnym zagranicznym konsultantem. Ten mały człowieczek schowany za ogromnym biurkiem powołuje do życia siły zła w postaci Wolanda (Krzysztof Grygiel), Korowiowa (Bartosz Watemborski), Azazello (Marek Karpowicz), Behemota (Lech Walicki) i Helli (Iwona Olszewska).

Diabelska drużyna pociąga tu za wszystkie sznurki i to całkiem dosłownie, prowadząc lalki zarówno małe, przedstawiające bohaterów pobocznych wątków, jak i ludzkich rozmiarów, uosabiające bladoliciego Mistrza i piękną Małgorzatę. Śledzimy historię ich uczucia, które na scenie przybiera melodramatyczną, banalną formę. Choć trzeba przyznać, że scena śmierci obydwójga jest jedną z najlepszych w spektaklu.

Zdecydowanie mniejsze wrażenie, wbrew temu, czego można by się spodziewać, robi za to inscenizacja diabelskiego przedstawienia, podczas którego z zebranych w teatrze kobiet opadają ubrania, a widzom rozdawane są pieniądze. Podobnie jest w przypadku balu u Wolanda, gdzie pojawiają się wycięci z papieru grzesznicy tak samo płacy jak teatralna wymowa adaptacji genialnej powieści. Na scenie i ekranie mierzono się z nią nie raz, ale strzegą jej chyba diabelskie moce, które sprawiają, że niewielu udało się osiągnąć doskonałości oryginału.

Rozdwojenie jaźni

Na Scenie pod Ratuszem Teatru Ludowego podczas premiery przedstawienia dla dzieci zatytułowanego *Sen Menaszego*, wyreżyserowanego przez Adama Srokę, maluchy potraktowano nieco dziwnie. Z jednej strony zaproponowano im infantylne zabawy, a z drugiej podszyty Talmudem oniryczny spektakl, nad którego przesłaniem nawet dorosły musiał się co nieco nagłowić. Czyżby twórców dopadło rozdwojenie jaźni? Wchodzący na widowie młodzie widzowie dostawały do ręki instrumenty, które miały pomóc im włączyć się w muzyczną warstwę przedstawienia. Rzut oka na bajecznie kolorową scenografię i kostiumy aktorów autorstwa Joanny Pielat-Rusinkiewicz też wróżył widowisku całkiem dobrze, tym bardziej że żydowskie piosenki z muzyką Andrzeja Zaryckiego wprawiły od razu widzów w doskonały nastrój.

I wszystko byłoby fajnie, gdyby na widowni nie pojawiła się Iwona Sitkowska. Reżyser zaproponował jej rolę kogoś w rodzaju przedszkolanki, która zwracała się do dzieci jakby były troszkę niedorozwinięte, zadając pytania typu: „Kochane dzieci, czy lubicie śpiewać i tańczyć?”. Część młodej widowni z przekory odpowiadała „nie”, wprawiając tym aktorkę w lekką konsternację. Nie przeszkadzało to jej samej wyskoczyć na scenę i ze słodkim, ma-



Sen Menaszego



ło adekwatnym do sytuacji uśmiechem wykonać piosenkę o biednej sierotce, która nie ma ani mamy, ani taty. Ową sierotką był tytułowy Menasz (Paweł Kumięga), który na dodatek okazał się niemy. Bowiem pomysł inscenizacyjny Adama Sroki polegał na tym, iż aktorzy grający w spektaklu, poza ową przedszkolanką, nie mówili. Ilustrowali tylko nagrany wcześniej tekst, przeczytany przez dzieci.

Notabene, bardzo to piękne, przepojone poezją opowiadanie I.B. Singera. Historia chłopca, który zasnął w lesie i trafił do zamku, spotkał tam zmarłych rodziców, przeszedł 7 pokoi, by zrozumieć, iż na końcu długiej drogi czeka miłość mogła zrobić wrażenie przynajmniej na nieco starszych widzach. Ale gdy zaczynał oddziaływać na nich budowany misternie przez twórców przedstawienia nastrój i plastyczna uroda scenicznego obrazu, to pojawiała się pani przedszkolanka, przerywała akcję i zadawała dzieciom ni z gruszki, ni z pietruszki żydowskie zagadki, na które odpowiadał podstawiony chłopiec.

Dzieci to najwrażliwsi widzowie. Warto zadbać o to, by nie uwodzić ich tylko z pozoru atrakcyjnymi obrazkami. Bo założę się, iż niewielu z nich było w stanie, po powrocie do domu, odpowiedzieć na pytanie, o czym właściwie był ten spektakl. ■